

W imię chorych zasad

16 sierpnia 2016

Konstanty Radziwiłł, minister zdrowia w rządzie PiS, ojciec ośmiorga książątek, jednym pociągnięciem pióra odebrał tysiącom polskich niepłodnych par szansę na potomstwo.

„Żadne słowa nie są w stanie opisać tego, co czują ludzie, którym odmawia się leczenia. My nie przychodzimy do klinik po dwóch, trzech miesiącach nieudanych prób i nie zamawiamy sobie in vitro. Każdy z nas jest pełnoprawnym obywatelem i niestety nie każdego z nas stać na to, aby leczyć się prywatnie. Dlaczego z tego powodu jesteśmy dyskryminowani? Ja miałam to szczęście, że wprowadzono program i nas do niego zakwalifikowano. Gdyby nie to, mojej córki nie byłoby dziś z nami. R.J.” – to jeden z wielu listów, jakie trafiły do Stowarzyszenia „Nasz Bocian” od ludzi wkurzonych i załamanych decyzją o wygaszaniu rządowego programu leczenia niepłodności przy zastosowaniu metody in vitro.

„Dlaczego?” – to pytanie zadaje sobie kilkadziesiąt tysięcy młodych bezdzietnych rodzin.

– W tych listach jest bardzo dużo emocji – oburzenia, smutku, poczucia wykluczenia i bezradności. Nie rozumieją, dlaczego jedni pacjenci są leczeni, a inni nie. Płacą przecież podatki. Są chorzy i oczekują wsparcia od państwa – mówi Marta Górna, przewodnicząca zarządu Stowarzyszenia „Nasz Bocian”.

Dziś minister Radziwiłł mija się z prawdą, mówiąc, że metoda in vitro budzi liczne kontrowersje i opory etyczne wśród znacznej części polskiego społeczeństwa. Tymczasem społeczeństwo nie ma problemu z in vitro. Według CBOS metodę popiera trzy czwarte Polaków.

DESKA RATUNKU

Niepłodność – zgodnie z definicją Światowej Organizacji

Zdrowia – jest chorobą. W Polsce dotyka około półtora miliona osób. Kiedy Sejm poprzedniej kadencji uregulował w końcu kwestię refundacji zapłodnienia in vitro, ciosu w moralność katolicką nie wytrzymali biskupi: „Ojciec Święty prosił, by nie eksperymentować i nie igrać z życiem człowieka. Wynikiem dzisiejszego głosowania zostały również zlekceważone oceny etyczno-moralne projektu ze strony biskupów. Ponad 260 parlamentarzystów odcięło się swoim głosem od poglądów wielu swoich wyborców!” – brzmiał komunikat Prezydium Konferencji Episkopatu Polski.

Z kolei dziesiątki tysięcy bezpłodnych par w Polsce, dla których dotąd barierą stanowiły wysokie koszty procedury (6–15 tys. zł), wreszcie dostało szansę na wymarzone potomstwo. Od lipca 2013 r. do grudnia 2015 r. urodziło się 3841 dzieci.

– To jest skuteczność na światowym poziomie. Dzisiaj trudno liczyć na to, że łzy, ubolewania i głos pacjentów wpłynę na zmianę decyzji tego rządu. Musielibyśmy uwierzyć w to, że nie wiedzieli, co ich decyzja oznacza dla ludzi, którzy są niepłodni na tym zaawansowanym stadium, kiedy potrzeba in vitro, bo żadna inna droga nie rozwiąże problemu – mówi Marta Górna.

KONIEC MARZEŃ

Departament Matki i Dziecka informuje, że „obowiązkiem lekarza, jest takie zaplanowanie leczenia, aby jego realizacja zmieściła się przed planowanym zamknięciem programu. Po 30 czerwca 2016 roku nie jest możliwe finansowanie świadczeń w ramach programu”. Rządowy program zakładał możliwość skorzystania z trzech cykli leczniczych. Dziś wiadomo, że w trakcie procedur, które trwają po kilka miesięcy, jest co najmniej 17 tysięcy par. Wiele z nich nie zdąży przed 30 czerwca. Są na różnych etapach: od stymulacji hormonalnej, po przygotowane już zarodki. Trwa walka z czasem. Od 1 lipca będą mogli leczenie kontynuować, ale już za własne pieniądze.

„Wszystkie koszty związane z procedurą zapłodnienia pozaustrojowego, w tym również koszt przechowywania zarodków po zakończeniu programu, ponoszą pacjenci” – brzmi komunikat Departamentu Matki i Dziecka w MZ. Jeśli pary nie zdecydują się na to z uwagi na brak funduszy – mogą komórki jajowe lub nasienie przekazać do anonimowego dawstwa albo zniszczyć.

– Jest to decyzja niespójna z głoszoną polityką obecnego rządu. Z jednej strony będzie się płacić 500 zł na dziecko, a z drugiej – pozbawia się szansy na potomstwo tysiące par pragnących mieć dzieci, które taką szansę otrzymują poprzez in vitro, a których po prostu na leczenie nie stać. Smutne jest to, że decyzje dotyczą głównie niezamożnych, których pragnienia są takie same jak bogatych, a ci mają wszystko do swojej dyspozycji – zauważa profesor Marian Szamatowicz, który w 1987 roku dokonał pierwszego w Polsce udanego zabiegu zapłodnienia człowieka metodą in vitro.

ŚCIEMA PIS

Ministerstwo ma swój plan o nazwie Narodowy Program Prokreacyjny. Tym razem zgodny z oczekiwaniami Episkopatu. Departament Matki i Dziecka komunikuje, że będą to działania informacyjne w obszarze promocji zdrowia prokreacyjnego, w tym naturalnych metod planowania rodziny. Celem ma być upowszechnienie wiedzy m.in. na temat stylu życia chroniącego potencjał rozrodczy człowieka i zwiększającego szansę urodzenia zdrowego dziecka, zasadności opieki prekoncepcyjnej (przedciążowej – red.), czynników biologicznych, chemicznych, fizycznych, psychologicznych mających szkodliwy wpływ na potencjał rozrodczy...

Na finansowanie in vitro w latach 2016–2019 poprzedni rząd przeznaczył 304 mln zł. Na swój program naturalnych metod planowania rodziny rząd PiS zaplanował podobne środki.

– Powstaną kliniki, które będą stosowały uznane na świecie metody diagnostyczne i terapeutyczne – zapowiada

optymistycznie wiceminister zdrowia Jarosław Pinkas. Przyznaje przy tym, że owe metody to zgodna z doktryną Kościoła naprotechnologia (termin pochodzi od słów z języka angielskiego – Natural Procreative Technology, metoda naturalnej prokreacji – red.). To sposób planowania rodziny, w którym uczy się partnerów cyklu menstruacyjnego kobiety i kontroluje poziom hormonów, by wyznaczyć optymalny czas na poczęcie. Niezależni od Kościoła naukowcy twierdzą zgodnie, że te domowe metody nie nadają się do skutecznego poczęcia. To tak, jakby ktoś po przeczytaniu broszurki „Zrób to sam” chciał zbudować wieżowiec.

– Ja naprawdę się dziwię, że Ministerstwo nie ma etycznych oporów, wciskając nam tę ogromną ściemę, że naprotechnologia zastąpi in vitro – mówi Marta Górna z „Naszego Bociana”.

Problem w tym, że współcześnie najbardziej prawdopodobne przyczyny niemożności zajścia w ciążę i urodzenia zdrowego dziecka to: czynnik męski, zaburzenia funkcji jajnika, czynnik jajowodowy czy endometrioza. Tutaj badanie śluzu nie pomoże. Leczenie występuje na trzech płaszczyznach: farmakologicznej (stanie się bardzo drogie wobec zapowiadanego zniesienia refundacji leków), zabiegowej (przede wszystkim laparoscopia) oraz metod wspomaganej prokreacji (w tym in vitro).

– Prowadzenie leczenia metodami o nieudowodnionej skuteczności jest traktowane jako „kradzież” czasu rozrodczego kobiety. Nie mam nic przeciwko klinikom referencyjnym w Polsce, niech ich powstanie jak najwięcej. Chciałbym jednak bardzo, aby rzeczywiście stosowały uznane na świecie metody diagnostyczne i terapeutyczne, a więc opierały działalność m.in. na zaleceniach Europejskiego Towarzystwa Medycyny Rozrodu i Embriologii. Mam nadzieję, że nie będą to wytyczne wyłącznie z podręcznika naprotechnologii Thomasa Hilgersa – podkreśla prof. Marian Szamatowicz.

POD ŚCIANĄ

„Skończyły się oszczędności i nadzieja, że kiedyś nasza sypialnia zmieni się w pokój małej księżniczki, bo w klinikach brak funduszy i na in vitro nie mamy szans. Kiedy premier Kopacz zapowiedziała kontynuację, a minister Zembala to podpisał, płakałam jak małe dziecko, a mąż tylko powtarzał: „Widzisz, będzie dobrze”. Naprotechnologia u nas się nie sprawdzi. Nie tylko u nas, ale u wielu innych par. To dla nas koszmar, ogromny koszmar” – pisze do „Naszego Bociana” Katarzyna.

„Naprotechnologia nam nie pomoże, nie sprawi, że u męża pojawią się plemniki w nasieniu. Dziś dla każdej młodej rodziny tak wysoki koszt to duży cios. Przecież inwestycja w in vitro się z czasem zwróci, gdyż dzięki tej metodzie urodzi się nowe pokolenie, które za 20–30 lat podejmie pracę i płacąc podatki „spłaci” wielokrotnie koszt swojego urodzenia” – tłumaczą W. i P. w liście kierowanym do ministra zdrowia.

Nieubłaganie nadchodzi czas, kiedy pogadanki przestrzegające przed noszeniem zbyt ciasnych spodni zastąpią inseminacje.

– Twierdzenie, że tego typu działania zastąpią in vitro, że wtedy urodzi się więcej dzieci niż po programie rządowym, ma charakter jednoznacznie demagogiczny. Ideologiczne deklaracje nie zmieniają faktu, iż bez stosowania metod wspomaganej prokreacji ponad 50 proc. bezpłodnych par zostanie pozbawionych szans na własne potomstwo. Przy zmianach nieodwracalnych metodą jest in vitro – wylicza profesor Szamatowicz.

Na początku stycznia Ministerstwo Zdrowia przekazało klinikom ostatnie 45 milionów w ramach rządowego programu. Możliwość dopłat dla par na wzór prekursorskiej Częstochowy, gdzie rocznie około 30 par uzyskuje dopłatę do procedury in vitro, rozważają niektóre samorządy (m.in. Łódź i Poznań). Na pewno nie będzie to jednak akcja prowadzona na tak szeroką skalę jak program rządowy.

– Tym politykom, którzy twierdzą, że in vitro to nie jest leczenie niepłodności, przypomnę, że za opracowanie in vitro została w 2010 r. przyznana Nagroda Nobla „za największe osiągnięcie medycyny klinicznej XX wieku”. Przed laty jeden z ginekologów wygłosił tezę, „że metody wspomaganej prokreacji to nie są procedury medyczne, czasami pozwalają uniknąć bezdzietności”, ale tylko niedouczeni politycy mogą taką tezę powtarzać. Na Boga! A cóż to jest niepłodność? Brak ciąży i urodzenia dziecka. I gdy się dziecko urodzi – to nie jest uleczenie? – profesor Szamatowicz nie kryje irytacji.

Autorstwo: Julia Stachurska

Źródło: FaktyiMity.pl